

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Na Zmartwychwstanie huczą już dzwony,
Na Zmartwychwstanie, —
Płynie dźwięk pełny na wszystkie strony,
Nad czarne role, nagie zagony
Na mokrym łanie.

Nad głuche lasy, szumiące strugi,
Wezbrane stawy;
Nad strzech wioskowych szereg ten długi,
Co dymów ciche wysła smugi
W błękit bladawy. —

W krąg między niebem a ziemią płynie
Ich dźwięk radosny,
Śpiżowem echem w świętej godzinie
Głosząc pólsej jeszcze krainie
Czar i moc wiosny!

A gdzie doleci ten głos wesela
Wnet wre robota:
I najpierw oto w cześć Zbawiciela,
Srebrzystych bazi palną wystrzela
Wierzba u płota.

I młoda trawka wychyla z ziemi
Główkę nieśmiałą,
Tuląc, jak dłońmi, żdźbłami drobnymi,
Przed nawrotami wichrów ostreimi
Śnieżyczkę białą.

Wnet wiosna swoje rozrzuci czary
W pustkowiu głuchem,
Na tych pól nagich śpiące obszary, —
Aż nowem życiem świat zawsze stary,
Zatętni ruchem.

Aż wszystko blaskiem, barwą i wonią
W niebo się poda —
Aż od tych dzwonów, co dzisiaj dzwonią,
Drżąc w rozmodleniu, z pokorną skronią
Kłęknie przyroda.

* * *

Na Zmartwychwstanie huczą już dzwony,
Na Zmartwychwstanie, —
Płynie dźwięk pełny na wszystkie strony,
Nad czarne role, nagie zagony
Na mokrym łanie.

I zda się wszechświat wtóruje cały
Dzwonom Niedzieli,
Potężną pieśnią szczęścia i chwały;
Bo śmierć zwyciężył Pan zmartwychwstały
W promiennej bieli.

Z. M.

Legenda o Bolesławie Śmiałym.

Alleluja! Alleluja!

Dana mi jest wszystka władza
na niebie i na ziemi. (*Ś-ty Ma-
teusz, rozdz. 28, w. 19.*)

Wiosna ożywiła ziemię. Zielone puchy mchów słały szmaragdowe kobierce po stokach gór. Pierwiosniki i zawilce przetykały niby gwiazdami zdźbła młodej trawy. Wiatr poruszał smerekami i niósł od skał do skał radosną wieść zmartwychwstania natury.

Po dolinach niósł tę wieść odgłos wesołych pieśni. Mało było wtedy jeszcze kościołów w Polsce, chociaż stawał je pobożny Mieszko i rycerski Bolesław Chrobry. Lud jednak przyswoił już sobie chrześcijańskie zwyczaje i pieśni. Pieśnią witał powrót króla Kazimierza Odnowiciela z Niemiec i dziś także radosną pieśnią rozbrzmiewały doliny „Chrystus Zmartwychwstał” wołały pobożne tłumy, cała natura zdawała się powtarzać wieść radosną.

Był jednak człowiek, w którego duszy zamarzył na zawsze wesołe echa. Szedł nie tam, gdzie zielone łąki przetykają barwne kwiaty. Żal, zgryzota, wyrzuty sumienia, pędziły go na odludne pustkowia. Kaleczył stopy, wstępując na coraz wyższe szczyty. Wśród dziko wyjącego wicherów, wśród obumarłej pod lodowcami natury znajdzie może spokój, którego nie zaznał od roku.

Od roku! bo rok właśnie upłynął, odkąd oszalały gniewem, podniósł świętokradzką rękę na pomazańca Bożego i splamił krwią Pańskie Ołtarze.

Wzdryga się na to wspomnienie tułacz, a tak niedawno jeszcze potężny władca. On, spadkobierca Piastowego tronu, pogromca Węgrów, Czechów, Pomorzan, uciekał od ludzi, ale od swej potępionej duszy uciec nie może.

Przelał krew, nosi na sobie piętno Kaina. Zgorszył naród, a biada gorszycielom. Zmarnował dziedzictwo, a potępiony ten, kto zatracca wielką spuściznę.

Odepchnął go kraj cały. Duma i gniew wołały o zemstę. W tułaczce zatracił dumę, zatracił gniew, ale z głębi udręczonego serca wypełznął gad najstraszniejszy — wątpienie.

Na dolinach brzmiały odgłosy wesołych pieśni. W górach szemrały wody strumieni, bo ciepłe dni rozgrzały ich łożyska. Głazy połyskują białymi plamami słońca. I tu, wśród nagich skał, czuć zmartwychwstanie wiosny. Umarłe jest tylko serce tułacza.

— Nie ma dla mnie zbawienia! Potępiony! potępiony! potępiony! — woła w rozpacz, bo nie znalazł pociechy na samotnych turniach. Ale tam, gdzie nie dolatuje hymn pobożnego ludu, gdzie nie wzbija się pod niebo skowronek z wesołą wiosną piosenką, tam sięgają skrzydła anioła Stróża, on nie odstępował duszy człowieka, aż do godziny, gdy opuszcza ziemską powłokę.

Znużony tułacz upadł na skałę, łachman monarszego płaszcza ogrzał skostniałe od wiatrów halnych członki. Zimorzony snem Bolesław Śmiały usnął, usnął i śnił.

Anioł Stróż muskał skrzydłem jego czoło, a jemu się zdało, że jest pacholęciem, że matka pocałunkiem koi żal chłopca.

Wiatr szumiał i grał po turniach, jak surma bojowa, a on marzył o zastępach rycerstwa, które wiodł do zwycięstwa.

Zerwał się orzeł z podniebnej gniazda i zakrakał żałością. Jemu się zdało, że nad potępionym łąka ziemia sierota.

— Miłosierdzia! — wołał zrywając się ze snu. — Miłosierdzia dla tego, za kim błaga dusza matki, za kim mówią szlachetne czyny rycerskie, i za kim prosi o zmiłowanie

jego ojcowizna królewska. Toż kochał tę ziemię, chciał jej chwały, nie szczędził krwi i trudu.

— Błagaj synu! błagaj! — szepcze Anioł Stróż.

On nie modlił się dotąd od roku. Nie modlił od owej chwili, gdy przelał krew świętego kapłana. Nie modlił się, bo najprzód bunt wrzał w sercu grzesznika, a potem żarła je rozpacz.

Ale dziś na samotnej skale czuł się bliższym Wielkiego Sędziego.

— Błagaj synu! błagaj! — szeptał Anioł Stróż.

— Tak, czuje, że odtajalo mu serce, że błagałby o miłosierdzie, ale nie śmie błagać Najwyższego Sędziego. Drży przed Nim, bo odczuwa Jego potęgę i sprawiedliwość. Mówią mu o Nim te niebotyczne turnie i przepaści bezdenne.

Drży, bo wkoło pustka, ostre szczyty skał, ciemność. Pogasyły nawet gwiazdy, jak gasnąć zwykły o poranku. Nagle zaświtało od wschodu, różowa jasność zabarwiła horyzont, dziwna słodycz rozlała woń swą po turniach, powietrze drga w oczekiwaniu cudu.

— Błagaj synu! błagaj! — szepcze Anioł Stróż.

Tak, będzie błagał zmiłowania. Rozchylił usta do prośby, padł na kolana, pochylił głowę w proch ziemi. I oto z różowego obłoku wystąpiła widomie świetlana postać Chrystusa Pana.

Alleluja! śpiewa świat Zmartwychwstałemu, a On, który darował łotrowi na krzyżu, On który modlił się, kłaniając, o przebaczenie dla swych morderców, On przyszedł wlać kroplę pociechy w serce zwątpiałego zbrodniarza.

— Błagaj synu! błagaj! — woła Anioł Stróż.

I on też błaga. Nie śmie całować przebitych gwoździemi stóp Chrystusowych, nie śmie podnieść naznaczonego piętnem Kainowem czoła, ale błaga rozdartą duszą, zamierającem ze skruchy sercem, niemymi ustami.

— Dana mi jest wszystka władza na niebie i na ziemi. Ufaj synu, a odpuszczone ci będą grzechy twoje — mówi Chrystus.

— A odpuszczone ci będą grzechy twoje — powtarza Anioł Stróż, ścieląc skrzydła swe przed panem i osłaniając niemi grzesznika, którego dusze wydarł piekłu.

Zmartwychwstała też dusza króla do pokuty. Zmartwychwstała w dzień, kiedy pobożny lud śpiewa Panu hymn tryumfu:

Alleluja!

Zofia Bukowiecka.

Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg)

— Tak, ten łagodny, zaklął potężnie.

— Moi panowie — odezwał się baronet — to co pan Jakób mówi, nie zgadza się z tem co utrzymuje pan Witold. Gdyby profesor nosił w kieszeni jakąś... dajny na to pamiątkę, nie chciałby jej rzucać w rozpadlinę skalną.

— Ja też nie powiedziałem że ją chciał rzucić, tylko sądzę, że...

— Że co?

— Że chciał spojrzeć na przedmiot, należący do damy jego myśli.

— Nie — zawołał Warburton — nie róbcie z niego średniowiecznego rycerza! Ja sobie przypominam, że gdy

Strand w drodze do Czarnego stawu zapuścił rękę w kieszeń, szukając zapalnika do cygara, które mu wtedy ofiarowałem, cofnął ją natychmiast z takim wstrętem, jakby się dotknął gadu jadowitego. Czy nie prawda, panowie? — zapytał, zwracając się do Waltera i Jakóba.

Obaj przyznali, że tak było rzeczywiście i że w całej tej sprawie jest coś niezrozumiałego. Warburton zrobił przypuszczenie, że ktoś poprostu figla urządził profesorowi z tą wstążką, ale nie wiedział kogo podejrzewać.

Górale spoglądali po niebie, nie dobrze tusząc o pogodzie, bo białe jak wata obłoczki snuły się po nim i rozdzierały o szczyty; że jednak między nimi widne były duże szmaty błękitu, więc jakoś nie wszyscy temu wierzyli. Nagle jeden z górali zawołał: „leje!” i wszyscy poczuli na twarzach drobny deszczyk, który nagle tak gęsto padać zaczął, że osłonił jakby mgłą cały tabor.

— Wróćmy się do schroniska — zaproponował Walter — i przeczekajmy burzę.

— Nie — rzekł Warburton — ktoby tam zwał na deszcz! Doświadczyliśmy już różnych wrażeń w tej podróży, ale nie doświadczyliśmy jeszcze burzy, bo tej na jaką patrzeliśmy spokojnie z okna groty w dolinie Kościeliskiej, nie odczuliśmy bezpośrednio. Co innego jest znajdować się wśród burzy na otwartym powietrzu, w łonie gór! Widzę właśnie, że nadciąga, słyszę echa dalekie gromów, i myślę że przyjdzie tu wkrótce do nas; rad jestem że się z nią spotkam: Idźmy, panowie, idźmy! Czy się boicie?

— Co do mnie, nachodziłem się dość po wycieczkach, zawsze w deszcz i burzę — rzekł Witold. — Znam się z nią.

— Dla mnie też nie nowina — odrzekł doktor — trochę się zmoknie, ale od czegoż ogień?

— Szczególna ochota! — mruknął Davy pod nosem. — Jestem pewny, że z tej sławnej wycieczki przyniosę do domu tyfus albo malaryę!

— Bądź spokojny — szepnął mu z cicha Walter — malarye i tyfusu nie rosną na szczytach, jak kwiaty halne. A kto przywozi malaryę z równin, to ją prędko gubi w czystym górskim powietrzu.

Namiot i cięższe bagaże, wysłano naprzód do Morskiego oka, przez Swistówkę. Ponieśli je górale, którym polecono przysposobić nocleg dla wszystkich.

Deszcz padał, a znajomi nasi szli tak żwawo, jakby to była najpiękniejsza pogoda. Była to droga nie droga, po złomach, po płaszczyznach wklęsłych usypanych ogromnymi granitami, zwalonymi jedne na drugie. Nie zawsze dało się stąpać z kamienia na kamień: trzeba było zejść z jednego nie bez korowodów i wejść na drugi nie bez ceremonii, bo kamień tak czasem stoi czy leży, że stąpiwszy nań wyrusza go się z równowagi i copradziej trzeba go uwolnić od ciężaru. Przeciągły świst dał się kilkakrotnie słyszeć. Henryk obejrzał się i ujrzał zwierzątko wielkości średniego psa, stojące na tylnych łapach, wyprężone jak świeca i rozglądające się niespokojnie: był to Świstak stojący na czatach.

Rozpoczęło się schodzenie bokiem przepaści, w którą upływ wód spadał, po skale obślizgłej od deszczu, przy szamotaniu się z wichrem, który tu wiał się skądś z góry i chciał ich w przepaść wtrącić. Każdy patrzył tylko przed siebie, nikt nie śmiał spojrzeć na bok, żeby wychyleniem się nie stracić równowagi. Przewodnicy ze zrezygnacją nadzwyczajną, podbiegali to tu, to tam, podając rękę lub wskazując kędy lepiej stąpać. Davy ślizgał się ciągle. Włosy nie dość krótko nad czołem przycięte, oczy mu zasłaniały, a piękny kostium turystowski, zmieniony już do niepoznania kilkodniową wycieczką, krępował mu ruchy przy schodzeniu w dół więcej jeszcze, niż przy wchodzeniu na Krzyżne. Biedny chłopiec ciągle potrzebował pomocy górala, a strach śmiertelny chwilami oddech mu tępował. Z zazdrością spoglądał on na swego rówieśnika i jego ruchy swobodne, w wygodnej, prostej odzieży. Dziadek był dla niego bardzo dobrym i kilkakrotnie mu rękę podał, pomagając w miejscach niebezpiecznych, ale to go

nie pocieszyło. Czuł się nieszczęśliwym, i serce mu gorycz zalewała.

Deszcz na chwilę ustał, ale dolina Roztoki wyglądała stąd szaro — niemal mroczno. Zasłona wprzód gęsta, w przejrzystą zmieniła się gazę — lecz dzikość straszna okolicy, straszniejszą się jeszcze zdawała. Pogruchothane ogromne urwiska, zwalone na płaszczyznę skalistą nad Roztoką, połamane drzewa, szalone podskoki i kamienisty łomot płynących dołem potoków, wszystko dawało miejscowości tej pozór wejścia do piekieł i Warburton odezwał się, że tak chyba będzie wyglądała ziemia w dzień Sądu ostatecznego.

Nikt mu nie odpowiedział i dalej stąpali wśród deszczu ulewnego, po głazach drżących od huku grzmotów, których echa tłukły się po szczytach prawie bezustanku, pobudzane ciągle wznowiającymi się gromami.

— Wiecie co, panowie — odezwał się — ja nie żałuję słońca i pogody: to jest straszne ale i przepyszne zarazem. Czuje się potężną siłę, mogącą zmiażdżyć w jednej chwili. Ten coby tu spadł, nie doleciałby do końca: wodaby go zabiła.

— Ja spadnę niezawodnie! — myślał Dawid cały drżący i uchwycił się mocno ręki przewodnika.

— A jednak trochę słońca przydałoby się — odrzekł Jakób — bo inaczej Wasza Dostojność nie będzie mieć żadnego wyobrażenia o Siklawie, z samego tylko szumu i huku potoku rzucającego się w przepaść. Tu jest jakby mała platforma. Stańmy i odpocznijmy trochę.

Słońce ulitowało się nad podróżnikami. Deszcz na chwilę ustał, a ono wyjrzało z za chmur i spotęgowało wrażenie, wytwarzając tęczę w rozpryskujących się falach kropli. Dumne czoła gór w około sterczących i niemniej dumne choć u stóp ich leżące głazy i złomy, buchały parą. W dolinie pod niemi wstawały tumany, okrywały białym rańtuchem ziemię, wznosiły się kłębam i ku podróżnym, obwijały ich i wyższe szczyty mgłą nieprzebytą i spadały znów deszczem na posłanie z którego wstały. Byli tedy w łonie chmur, w legowisku piorunów. Zdawało im się, że grzmot z ich ust wychodzi, że to ich oczy błyskawice ciskają. Naprawdę zaś nie mówili nic z sobą, a widzieli tylko o parę kroków.

— Czy Wasza Dostojność życzy sobie zejść na dół do Roztoki, czy też wrócić na górę? Stąd dwie drogi prowadzą do Morskiego Oka: przez Roztokę i przez Swistówkę.

— Przedstawcie mi korzyści jednej i drugiej, abym wiedział co wybrać.

— Idąc przez Swistówkę, można zobaczyć Morskie Oko z góry, z wielkiej wysokości; a idąc dołem, można w Roztoce odpocząć w schronisku i osuszyć się, coby nam się bardzo przydało, bo jesteśmy przemoknięci do nitki, a następnie...

— Dają tam dobrą jajecznicę — wtrącił Jakób.

— Roztoka... czy to tam, gdzie Witkiewicz czytał góralom Odyseję Homera?

— Tam właśnie. Do Morskiego Oka jest stamtąd tylko godzina drogi.

— A przez Swistówkę?

— Trzy godziny.

— O, to coś znaczy!

— A przytem w Roztoce są do widzenia Wodogrzmoty.

— Wodogrzmoty?

— Woda tej tu Siklawy rozbija się po wyniosłych skałach, i spada w czeluście. Wyłobila tam ona sobie w skale głęboki parów: jest to dzieło wielu wieków. Przyroda przystroiła parów ten mchami, krzewami, bujną trawą i różnego gatunku krzewami. Długo te wspaniałe wodospady były niedostępne, pasterze tylko tam się zakradali, opowiadając o dziwach i przepaściach, w których gubił się potok z huczeniem i zwano go „Wodogrzmotem.”

— Trudno o wyrażenie dosadniejsze i więcej malownicze — rzekł Jakób.

— Dopiero po wyrobieniu ścieżki, wyszły na jaw ukryte dotąd piękności; a że ich odkrycie wypadło jedno-

cześnie ze sprowadzeniem zwłok Mickiewicza z Francji do Krakowa, więc goście w Zakopanem zebrani na wiecu, uchwalili nazwać te wodospady ku czci wielkiego wieszczą, jego imieniem. Wodogrzmoty noszą odtąd nazwę „Wodospadów Mickiewicza,” o czem objaśnia podróŜnych wmurowana w skalistą ścianę tablica.

Warburton słuchał zadumany i wybrał drogę w dół. Davy odetchnął: będzie mógł nareszcie ogrzać się i odpocząć.

XXIII. Brahiopod.

Deszcz ustawał i kapał znowu, gdy wyprawa Warburtona zwiedzający Wodogrzmoty, dążyła do Morskiego Oka, pragnąc ujrzeć je jeszcze przed zachodem słońca. Górale spoglądali ciągle ku górze, gdzie gęste mgły wisiały, ale nie wypowiadali swoich obaw. Podróżni zmęczeni, dopytawali się raz wraz czy daleko jeszcze to Morskie Oko i otrzymywali odpowiedź, że „nie prec;” że „zaraz za tym brzeŜkiem,” że „tuŜ, tuŜ,” w miarę jak zmniejszała się odległość, dzieląca ich od celu podróŜy. Wreszcie gdy przybyli do miejsca, gdzie zapytawszy po raz setny moŜe: czy daleko to Morskie Oko? usłyszeli odpowiedź:

— Ady juŜ som przy niem: oto Rysy na lewo, a na prawo Mnich: Morskie Oko tu za tym wałem z kamieni.



Świstaki.

Chodźcie prędzej, bo nic nie zobaczycie! Czy widzicie jak się mgły przewalają przez szczyty?

Wstąpili na wał i stała się rzecz niepojęta: zasłona z mgły nieprzebitej opadła w mgnieniu oka i zasłoniła przed nimi jeziore.

— Jesteśmy u Morskiego Oka, ale go dziś nie zobaczymy, i kto wie czy zobaczymy jutro — powiedział Witold, — Bóg spuścił na nie zasłonę. Ale co robić? Gdy niema innego sposobu, pozostaje tylko rezygnacya!

We mgle, która ich otoczyła, usłyszeli nagle głos:

— Gdzie jest do licha to Morskie Oko? — i ujrzeli przed sobą ręce rozkrzyżowane i szukające drogi, jakby po omacku.

— Doktor Strand! — zawołali jednocześnie Walter i Warburton. — JakąŜ pan drogą siedleś? — JakąŜ pan drogą siedleś? —

— Przez Świstówkę.

— Cy pan słyszałeś nasze wystrzały?

— Słyszałem, ale nie miałem czem na nie odpowiedzieć.

— A rewolwer?

— Zostawiłem go przy Dwoistym.

— Ze teŜ pan zawsze musisz coś zgubić! A Brahiopod jest?

— Jest! jest! — zawołał tryumfująco profesor — o, patrzcie!



Siklawa w Roztoce.



Wodogrzmoty.

Przyjaciele uczonego słyszeli tylko głos, nie mogąc dojrzeć wyciągniętej dłoni przez mgłę, która gęstniała — ale w tejże chwili posłyszeli brzęk szkła, i jęk bolesny, rozdzierający.

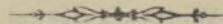
— Co się stało? — zawołali biegnąc ku niemu.

— Brahiopod! ach, Brahiopod! — wołał żałośnie profesor. Upadł mi słoik i stłukł się pewnie. Co za nieszczę-

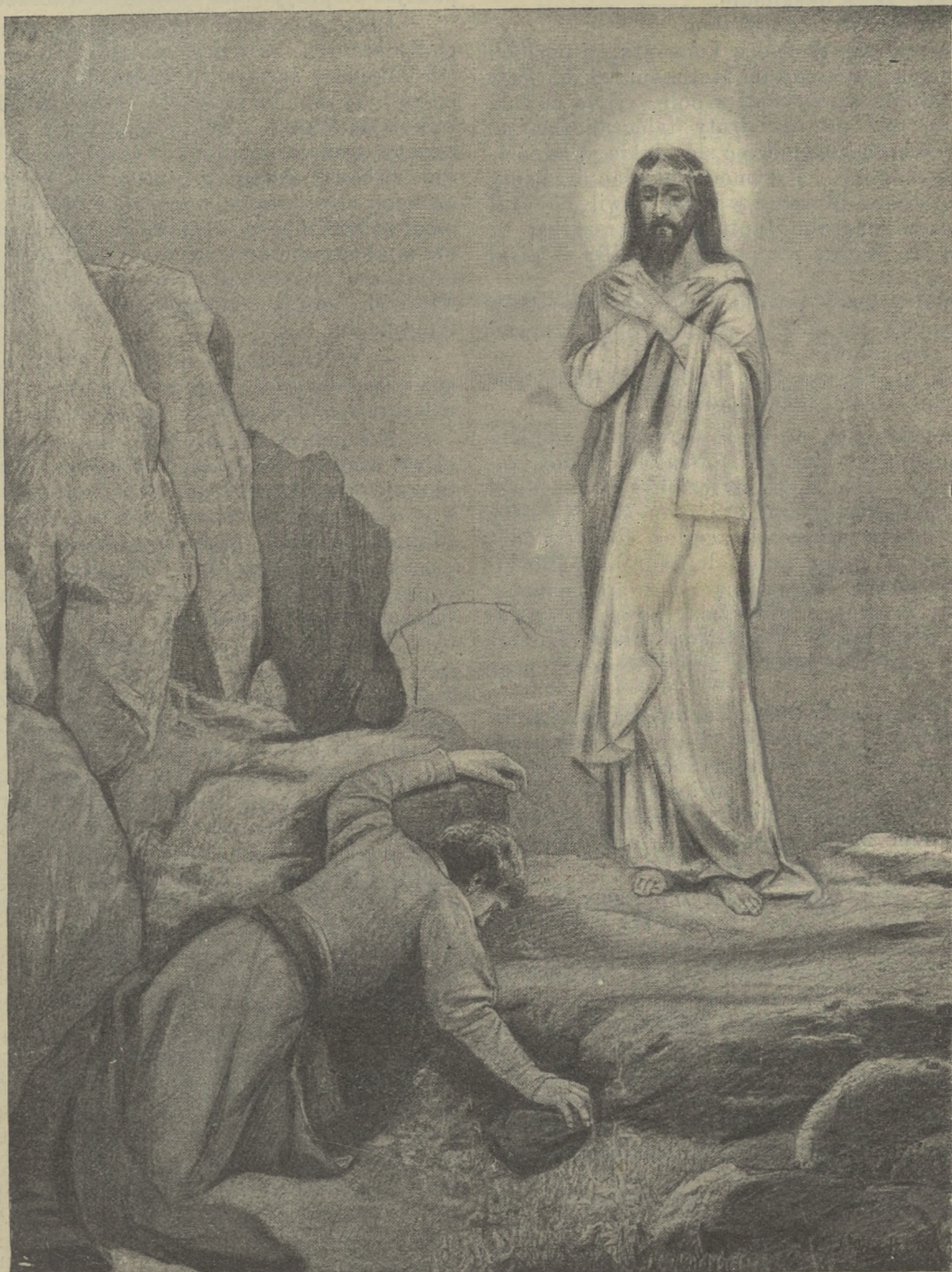
ście! cały trud stracony... I gdzie on jest? Nic nie widzę, ani nie mogę namacać.

— Pomożemy panu szukać. Ale jakże się to stało, żeś go upuścił?

— Jak? poprostu upadłem! Ach, mgła przekłęta!
(d. c. n.)



Do legendy o Bolesławie Śmiałym.



— Ufaj synu, a odpuszczone ci będą grzechy twoje — mówi Chrystus.

Z dziennika Janka Ż.

(Dalszy ciąg).

— Tam jest de Wett — krzyknął Methuen, i skoczył pierwszy szturmować obóz. Pędzą Anglicy, wpadają między puste namioty, nigdzie śladu człowieka, szyldwach tylko nie rusza się z miejsca.. bo jest drewniany! Ha, ha, ha! czyż to nie wyborny koncept. Methuen wściekły chwytając karabin mniemanego żołnierza. Na bagnecie był załknięty papier:

— Przyjm ode mnie w depozyt te stare namioty — pisał de Wett — zabrałem wam w tym tygodniu nowe i miło mi zaświadczyć, że są doskonałe.

— Cóż na to Anglicy? — zapytałem.

— A cóż, śmieli się głośno z konceptu, a pocichu z miny lorda Methuena. Ale co tam Methuen, toż de Wett samego marszałka Roberta wywiódł w pole. Było to tak. De Wett przerywał raz po raz druty telegraficzne, aż przysłała mu kiedyś ochota dowiedzieć się, jakie wiadomości przysyłają sobie Anglicy. Przymocował więc przecięty drut do aparatu systemu Morsa, i w kilka chwil odebrał depeszę wysłaną przez generała Huntera do marszałka:

— Schwytałem de Wett'a ale proszę o posiłki — pisał Hunter.

— Popamiętasz ty swoje posiłki — zawołał Chrystyan de Wett, i jak przystało na dobrze wychowanego człowieka odelegrafował generałowi:

— Odebrałem, posiłki wysyłam. Podpisane Roberts — a do Roberta zatelegrafował jednocześnie:

— Posiłki niepotrzebne, de Wett schwytany, wziąłem 5000 niewolnika, podpisane Hunter. — Szalona radość zapanała w Pretoryi. De Wett uwięziony! zwycięstwo! wołali oficerowie, zapijając tryumf szampanem. Niestety jednak radość nie trwała długo, marszałek Roberts odebrał wkrótce tym razem przez linię telegraficzną z Bloemfontein, depeszę Huntera, wzywającą na gwałt pomocy. De Wett prawdziwy gentleman dotrzymał słowa, przyprowadził sam posiłki generałowi i tak ścisnął niemi Huntera, że wojsko jego stopniało jak ten śnieg topnieje przy moim ogniu.

Słuchałem z wielką ciekawością opowiadania Karola i byłem gotów uwierzyć już w tryumf Burów, kiedy przypomniało mi się to, co widziałem w Johannesburgu; miasto zajęte przez Anglików, mieszkańcy uwięzieni lub wysłani na Świętą Helenę. Ten sam los spotkał Pretoryę i Bloemfontein. Powiedziałem moją myśl Francuzowi. Zerwał się z miejsca i zaczął znów machać rękami.

— Cóż z tego, cóż z tego — wołał zaperzony. — Anglicy zajęli stolice Oranii i Transwalu, ale czy je kto bronił? Burowie są mądrzy, cofają się w głąb kraju, zmuszając Anglików do coraz dalszych pochodów. A wiesz ty *jeune homme*, co to znaczy? To znaczy, że Roberts musi obsadzić całą linię kolei od przylądka aż do rzeki Limpopo. Bo goniąc za nieprzyjacielem, trzeba mieć zapewniony dowóz żywności i amunicji. Pomyśl *jeune homme*, ile marszałek traci sił, żeby zabezpieczyć od Burów linię komunikacyjną długości tysiąca mil. Dodaj do tego załogi pozostawione w miastach, a zrozumiesz, dlaczego mówię „prawdziwa wojna teraz dopiero się zaczyna.”

Dermont zamyślił się, poblądł, widziałem, że był wzruszony.

— Czemu nie mieliśmy takich de Wettów w 1870 r. Kiedy Prusacy zabierali nam Alzację! — zawołał ze szczerym bólem w głosie. Chciałem uściśnąć mu dłoń na znak współczucia, ale on skręciwszy papierosa nucił już wesoło:

La, la, la, ça ira

on rira

des Anglais.

A potem ze śmiesznie tragiczną miną pokazał mi pułtę cygarnicę, z której wydobył resztę tytoniu.

Dziwny to, lecz bardzo sympatyczny naród ci Francuzi.

* * *

Karol Dermont niedługo był pozbawiony tytoniu. Jeszcze tego samego dnia wrócił z wyprawy de Wett i przywiózł bogate łupy. Wiedzieliśmy teraz, jaki był cel wyieczki generała. Otrzymał zawiadomienie, że pociąg towarowy eskortowany przez 240 żołnierzy, stoi na dworcu najbliższej stacji. De Wett miał z sobą tylko 80 ludzi, ale za to konie jego oddziału były wszystkie *solone*, a *selled horse*, to znaczy, jak wam już pisałem, koledzy, że przebyły chorobę właściwą tutejszym górcom i mogą bezpiecznie znosić trudy szybkiego pościgu. Burowie przywdziali ubrania koloru *khaki*, zdobyte na Anglikach; udało im się też podejść nieprzyjaciela i obsadzić dworzec.

Przy pierwszych promieniach wschodzącego słońca padły strzały. Anglicy, zaskoczeni niespodziewanie, stracili kilkunastu żołnierzy i wywiesili białą chorągiew. W pociągu były mundury zimowe, które przydadzą się dla ochotników de Wett'a. Znalezione także w wagonach ogromne zapasy tytoniu, żywności i trunków. Piliśmy przez kilka dni wyborny szampan, *extra dry*, z transportu przeznaczonego dla sztabu marszałka Roberta. De Wett nie mógł zabrać z sobą wszystkich łupów, gdyż oddział Burów nie miał ani mułów, ani koni pociągowych. Pozostała od rabunku zdobycz ułożono w wielki stos i podpalono. Wprzód jednak zakopano w ziemi działa, zdobyte na Anglikach.

— Odkopimy je da Bóg, kiedy nastaną lepsze czasy — powiedział do Roberta Burnsa, który towarzyszył mu w wyprawie i był ulubieńcem generała.

Nic jednak nie wrzyło, aby sprawdzić się miały nadzieje wodza. Partyzanci przywozili do obozu coraz snutniejsze wiadomości. De Wett spadał od czasu do czasu z wysokich gór na doliny, jak sęp lub orzeł na upatrzoną zdobycz. Szerzył jeszcze postrach, ale naciskały go ze wsząd wojska angielskie. Czuliśmy wszyscy, że niedługo popasać będziemy w obozie. Nawet Karol Dermont przestał nucić wesołe piosenki.

Pierwszego września wydał lord Roberts proklamację, obwieszczającą wcielenie Transwaalu do posiadłości królowej Wiktorii, pod nazwą kolonii rzeki Waal. Wcielenie Oranii nastąpiło już 28 maja, jako *Oranie Rivier Colony*. Wymazano jednym pociągnięciem pióra dwie rzeczypospolite z mapy świata, nie pytając, co na to powiedzą Burowie. Siły Holendrów podzielone były we Wrześniu na trzy oddziały. Jeden skierował się ku Ladybrandowi, drugi szedł w stronę Barbertonu, trzeci osłaniał odwrót prezydentów Stejna i Krügera. Tego ostatniego zwłaszcza, gdyż Krüger dążył przez Nelspruit do posiadłości portugalskich. Chciał ocalić i przechować na gruncie neutralnym archiwum państwa, a potem odpłynąć do Europy, gdzie się spodziewa znaleźć poparcie dla Burów. Biedny starzec! jego dzieje to dzieje samej rzeczypospolitej transwaalskiej.

Krüger urodził się 1825 r. Miał lat siedm, kiedy zabił pierwszą antylopę, jedenaście gdy zastrzelił pierwszego lwa, a w 1836 należał już do wielkiego *trecku*. Odtąd wojował nieustannie z Kaframami. Opowiadają o Pawle Krügerze, że ścigany przez gromadę Basutów, głodny i zmęczony, odpoczywał wieczorem sam z dala od mieszkańców. Nagle poruszył się jakieś zwierzę w pobliskich trawach, Krüger chciał strzelić, sądząc, że zabije antylopę i zaspokoi nią głód. Kapiszon spalił na panewce, ale chłest odwodzonego kurka obudził czujność mniemanej kozy. Zwierzę wstało z legowiska i Krüger ujrzał... lwa. Patrzeni na siebie przez kilka sekund. Pawełek nałożył nowy kapiszon, lecz strzał nie dopisał po raz drugi. Chłopak zrozpaczony niepowodzeniem, chwycił za lufę karabina i używając suzy jak maczugi, wywinął kolbą młynka. Cóż myślicie, koledzy, jak się skończył pojedynek młodzieńca

ze lwem? Otóż koniec zdarzenia był bardzo szczęśliwy. Odwaga Krügera podobała się snać, królowi pustyni. Lew postąpił jak na wspaniałomyślnego monarchę przystało, bo darował życie Pawłkowi.

(d. c. n.)

PANICZYK

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

VI. Na stacyi.

Józio rozstawszy się z ojcem, rozplakał się serdecznie. Chociaż tęsknił za matką, za siostrą, za całym Chrustowem i wszystkimi jego mieszkańcami, dopóki jednak, czuł opiekę kochającego ojca, który mu wszystkie wolne chwile poświęcał, rażniej mu jakoś było. Bawiło go też i zajmowało miasto, zaciekało życie szkolne i w ogóle całe otoczenie, tak różne od tego, w którym był wychowany.

Nawet to, że będzie poniekąd sam sobą rządził, załatwiał drobne uczniowskie sprawunki, zadawało go do pewnego stopnia.

Przestawał być dzieckiem, wstępował w ową fazę życia, które uchylało nieco swoją zasłonę. Teraz już nie oglądając się co chwila na troskliwą, czuwającą tylko z odległości ręką rodziców, miał iść po nowej dla siebie drodze. Przy pożegnaniu jednak z ojcem, zapomniał o tem, że przestawał być dzieckiem i rozplakał się rzewnymi łzami.

Gdy pociąg ruszył i on został sam na peronie wśród obcych ludzi, serce mu się ścisnęło. Opamiętał się jednak, otarł łzy i z miną dość pewną siebie wrócił na Wspólną.

Towarzysze, których miał aż czterech prawie równego wieku, siedzieli przy wielkim stole, nad którym wisiała lampa i odrabiali z mniejszą lub większą pilnością lekcye.

Tylko Antoś, zapomniawszy o swej niedawnej przygodzie, oparłszy się kolanami o stół, huśtał się po swemu na krzeselku.

— Nie trącaj, póki ci mówię grzecznie! — zawołał Leon, który właśnie rysował i skrzywił linię.

— Chm, chm, chm! malu! malu! malu! — chrząknął Antoś w odpowiedzi, ujrawszy wchodzącego Józia.

— Antek, będziesz ty cicho! — zawołał Michaś, który półgłosem uczył się lekcji.

— Ooch, ooch! — ziewnął na cały głos Antek, przeciągając się leniwie i stuknął krzesłem.

— Chcesz ty mydło! — zawołał wstając Leon.

Lecz Antek wsunął się pod stół i wlokąc się na czworakach, przeszedł na drugą stronę.

— Bolek, pójdz — szepnął do siedzącego tam chłopca, który nic nie mówiąc, wpatrywał się apatycznymi, na pół sennymi oczami w roztwartą książkę, a z bladej, rozlanej jego twarzy znać było, że nie wiedział co czyta.

Chłopiec wstał i z tą samą apatycznością powłókł się za Antkiem do przyległej sypialni.

— Słuchaj Bolek, jak *paniczyk* siądzie przy tobie, żebyś zawołał: „a ciu!”

— Jaki paniczyk? — zapytał Bolek, wytrzeszczając swe bezmyślne oczy.

— Głupi, nie wiesz! Józiek Chrustowski.

— Wiem!

— Pamiętaj, żebyś tak wołał!

— Dobrze.

— Idźże teraz póki nie usiądzie.

I wypchnął Bolka z ciemnej sypialni, sam zaś z kieszeni wyjął gumową świstawkę, która za pociśnięciem wydawała najdziwniejsze głosy i umieścił ją pod prześcieradłem na jednym z łóżek.

Tymczasem Józio otworzywszy swoją szufladkę, wyjął kajet i rozłożył go, a zapomniawszy się, chrząknął, jak to miał we zwyczaju.

— A ciu! — ozwał się swym bezdźwięcznym głosem Bolek. Inni rozśmiali się na całe gardło.

Byli to wszystko już drugorocznicy pensjonarze, znali doskonale rozmaite sztuczki, a dla nowicyusza nie żalowali figlów i przycinków.

Józio zaczerwienił się, lecz nic nie odrzekł.

Antoś usłyszawszy śmiechy, domyślił się co zaszło, wszedł więc szybko i począł:

— Malu, malu, maluuu! klaskał przytem piskliwie.

Śmiech jeszcze większy wybuchnął ze wszystkich piersi.

Wprawdzie dwaj pozostali towarzysze: Leon i Michał nie powtarzali dowcipu swych młodszych kolegów, udawali nawet zajęcie się nauką, śmieli się jednak, spoglądając z pod oka na nowicyusza.

Nawet blade Bolek śmiał się, porwany wesołością towarzyszy.

Józio cały zaczerwieniony zerwał się z miejsca i przyskoczywszy do mlaskającego wciąż Antka, zawołał:

— Słuchaj, ty urwisie, jak mi jeszcze raz powtórzysz swoje głupie żarty, to ci tak uszu nakręcę, że ich przez cały rok nie wygoisz.

Antek tchórz z natury, przytulił uszy, jakby go rzezywiście za nie łapano.

Leon i Michał spojrzeli na siebie, przygryźli wargi i spuścili oczy na kajety.

Józio wrócił na swoje miejsce i zabrał się do lekcji, chciał chrząknąć, jak zwykle, lecz jakoś w porę się powstrzymał. Zmarszczył tylko brwi, aż mu żyły na skroniach nabrały, zatkał uszy i postanowił uczyć się, nie słuchając rozmowy towarzyszy.

Lecz Antek przytuliwszy na chwilę uszy, podniósł głowę i dawał znaki Bolkowi.

Blady chłopiec począł się głupowato uśmiechać, a potem odsunawszy kajet Józia, mówił:

— A ciu! a ciu!

Józio nie zwracał przez chwilę uwagi, gdy jednak Bolek, zachęcony przez niespokojnego kolegę, wciąż swoje powtarzał, wstał, złapał go za ramiona, a potrząsnawszy nim silnie, zawołał:

— Gdybym nie miał nad tobą litości, żeś taki blade, tobym ci tak skórę wytatarował, żeby ci się raz na zawsze odechciało naśladować urwisów!

Bolek wtulił głowę w ramiona i począł znów wodzić bezmyślnie wzrokiem po książce.

Dwaj koledzy, którzy tylko bierny udział brali w tych żartach, spojrzeli znów po sobie, a Leon rzekł przez zęby:

— To ci paniczyk!

Lecz Józio już tego nie słyszał, zatknawszy uszy, znów powtarzał lekcję. Był jednak tak wzburzony, taka chęć odplacenia za te żarty i spojrzenia rozpierała mu piersi, że prawie nic nie rozumiał, czego się uczył. Szczęściem, na następny dzień, jak zwykle z początku roku, lekcji było nie wiele i nim zawołano na kolację, ze wszystkiem się jakoś uporał.

Była to pierwsza wspólna kolacja z kolegami na stancyi. Stół zasłany tylko ceratą, proste szklanki, bułki z ponakładanymi kawałkami mięsa przed każdym i brak serwet przykre na paniczyku zrobiło wrażenie. Zasiadł jednak na wskazanym miejscu i przez chwilę nie zabierał się do jedzenia. Inni rwali zębami odrazu z przeznaczonego dla siebie kawałka chleba, mieszali głośno łyżeczką w szklance i spoglądali na siedzącego przed swoją porcją Józia.

— Czemu nie jesz? — spytała pani Tamkowska.
 — Późno jadłem obiad — odrzekł, pijąc łyżeczką herbatę.
 — Czekaj na pasztet! — ozwał się Antek.
 — Zebym ja ci nie sprawił pasztetu! — syknął Józio przez zęby.

— Nie mięszaj tak w herbacie, bo dno w szklance wybijesz! — zawołała pani Tamkowska na Bolka, który wiercił łyżeczką wciąż w szklance.

— Nie słodka, myślę, że się rozpuści! — bronił się chłopiec.

— Nie prawda, a twoja słodka? — spytała Józia.
 — Dla mnie słodka — odrzekł, wyjmując łyżeczkę i kładąc ją na blaszanym spodku.

— Lizuś! — szepnął Antek.
 — Paniczny! — rzucił przez zęby z pełnych ust Michał. — I spojrzaj na układną postać nowicyusza. Gdy inni bowiem siedzieli porozpierawszy się łokciami na stole, pełnym okruszyn i porozlewanej przez nich herbaty, Józio siedział zupełnie przyzwoicie, jak go nauczono w domu.

— Elegancik! — dodał Leon, posuwając z brzękiem szklankę na sam środek stołu.

I odsunawszy głośno krzesło, skłonił się dość niezgrabnie. Toż samo inni uczynili.

Józio wstał nie szurając krzesłem, ukłonił się zręcznie i stając przed panią Tamkowską, zapytał:

— Czy mogę pograć trochę, proszę pani profesorowej?
 — Idź, idź, i owszem, ojciec prosił mnie o to, podobno będziesz brał lekcje muzyki — dodała, pomagając służącej zbierać szklanki.

— Daj mi twoją bułkę? — szepnął, ciągnąc go za rękaw Bolek, który pozostał, spoglądając pożądliwie na porcję towarzysza.

Józio spojrział zdziwionymi oczami. Pierwszy raz słyszał, żeby ktoś resztki po drugim zjadał.

— Daj, już nigdy nie będę! — powtórzył blady chłopiec.

— Ależ i owszem, weź! — odrzekł, odchodząc do wąskiego pokoiku, w którym stało przyciśnięte do ściany pianino.

Bolek złapał chciwie nadgryzioną nieco bułkę i nie-
 tknięty kawał chleba, a zapychając sobie usta, wszedł za
 innymi do pokoju przeznaczonego na naukę.

Tymczasem z wąskiego pokoju rozległo się pięciopalcowe ćwiczenie, wykonywane jednak równo i wytrawnie.

— Tra, la, la, la, la, la, la! tra, la, la, la, la, la, począł, naśladowując głos rozstrojonego pianina.

— Cicho ty! — zawołał Michał.

— Wolno paniczycowi grać, wolno i mnie śpiewać! — odparł Antek i dalej pisał:

— Ti ti, ti, ti! — ti, ti, ti, ti!

— Nie, to nie do wytrzymania — uważasz. — Trzeba się będzie wynieść stąd od kwartału! — zawołał z miną dorosłego Leon.

I odsunawszy krzesło z łoskotem, począł chodzić po pokoju, stukając butami.

— Czego chcesz, będziemy mieli darmo koncerty! — zawyrokował Michał.

Bolek połknawszy podarowaną sobie porcję, zabawił się teraz darcim papierków, Antek piszcząc wciąż swoje tra, la, la, bujał się na krześle w takt wygrywanych pięciopalcówek.

Lecz z pokoju zwanego salonikiem, ozwała się teraz jakaś smętna melodia dumki ukraińskiej.

Józio rzeczywiście miał zdolności do muzyki, z ochotą przykładał się do niej, z wielkim upodobaniem wygrywał nie tylko to, czego się z nut nauczył, lecz i to, co usłyszał, wchodziło mu łatwo pod pale.

Po niejakej więc przegrywce zabrzmiała inna melodia, którą Antek starał się również wygwizdywać.

(d. c. n.)

ZADANIE NA PRZYSŁOWIE.

ułożył Wieczór R.

Rzucam garstkę słów,
 Weź z nich po sylabie,
 I z tych sylab złóż
 Przysłowie o babie:

Kamienie umiałeś łamać, balony zabawiać, ukłony posyłać,
 tureckie kury pilować, ładować proso grzebieniem, przeprosić
 Zosię.

LOGOGRYF.

dla Jaskółki ul. Półdyable Weneckie.

Z następujących sylab: A—a —bo—ce—cya—ci—del—
 de do—dzie—e—e—er—gip—fez—jow—ka—li—li—li—leo—
 land—mo—nie—ny—nar—no—nes—o—tow—ski—wa—usz—sa
 —ste—so—ro—ro—ra—ra—ra—rum—rdest—phi—ze—ze
 —żec — ułożyć 16 wyrazów, tak, aby początkowe i końcowe ich
 litery utworzyły nazwę polskiego komedyopisarza i tytuły dwóch
 jego utworów. Znaczenie wyrazów: 1) Wyspa w zat. Botnickiej.
 2) Imię sławnego włoskiego malarza. 3) Prorok hebrajski. 4) Wy-
 spy na oceanie Spokojnym. 5) Miasto guber. nad Wołgą. 6) Da-
 wna stolica Finlandyi. 7) Zwierzę z grom. gruboskórnych. 8)
 Świątynia z wyrocznią w star. Grecyi. 9) Jeden z najstarożytniej-
 szych narodów. 10) Przywódca buntu za Jana Kazimierza. 11)
 Nakrycie głowy na wschodzie. 12) Zakończenie nóg pewnej gro-
 mady ssących. 13) Twierdza w Armenii. 14) Mówca grecki. 15)
 Roślina z rodz. t. n. używana w medycynie. 16) Klasztor w Pru-
 sach pamiętny pokojem 1660 r.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Na Zmartwychwstanie, wiersz (z ryc.) — Legenda o Bolesławie Śmiałym, Alleluja! Alleluja! przez Zofię Bukowiecką (z ryc.)
 Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Z dzienniczka Janka Ż.—
 Panicznyk, przez Z. Morawską. — Łamigłówni. — **Dodatek:** Przed Świętami (z ryc.) — Po dyngusie, wiersz przez J. Warnka.—
 Pierwsze zwiastuny wiosny, przez Kazimierza Kalinowskiego. — Piotruś i Basia — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do
 listów. — **Dodatek książkowy:** Dziedzictwo Karola Wielkiego, powieść historyczna z IX-go wieku, Karola Deslys, przekład
 z francuskiego M. K.



PRZED ŚWIĘTAMI.

(Dalszy ciąg)

— A fiołki są? — pyta Henryś.

— Będą — upewnia go z całą stanowczością Zosia, która już dziś znalazła w sadzie jeden, liliową barwą nabrzmiały pączek.

Ignacy wzywa paniczów na podwieczorek, bo kawa wystygnie; zresztą nie trzeba ich długo namawiać — nie jedli dziś wcale obiadu, a podróż zaostreza apetyt. Zosia patrząc na okryte złotym kożuszkiem garnuszki ze śmietanką, żałuje trochę, że i ona w tej chwili nie przyjechała z kolei; kawa tak smacznie pachnie! Ale mama powiedziała, że byłoby to brzydkim łakomstwem jeść bez potrzeby tyle razy w Wielką Środę, więc dziewczynka nie odzywa się już ze swoją chętką na kawę, tylko skubie po troszeczkę, słodkiego kołacza, z którego bracia co chwila przykrawają sobie spore kromki.

Trzeba przyznać, że kołacz udał się wybornie!

Zaraz po podwieczorku następuje oglądanie wszystkich bab, placków, mazurków, które już wymaszerowały z pieca — chłopcy wydają okrzyki podziwu i radości, a Zosia dumną się czuje, że się wszystko tak wspaniale przedstawia — i jej w tem zasługa przecież — prawie wszystkie rodzynki i migdały obrane jej ręką — a ile się przytem nabiegała z domu do oficyny! jak pilnowała, póki ciasto na baby rosło, żeby nikt w całym domu mo-

cniej drzwami nie stuknął, bo wiadomo, że najłżejsze trzęsienie ciastu szkodzi.

Wieczór upływa na przygotowaniach do roboty pisanek, a jutro od rana rozpoczyna się wielka kampania, w której i tatuś bierze udział przez dobrych kilka godzin; bo te skrobane scyzorykiem pisanki nie robią się tak prędko, nad każdą trzeba się porządnie napracować. Dzieci z bijącym sercem oczekują, jakie też tatuś tym razem obrazki powymyśla — rade by przypatrywać się jego robocie — ale nie wolno, bo to przeszkadza! Zresztą czas im się nie dłuży — mają przecież same dość zajęcia i gawędzą przytem wesoło, snując na święta tysiące wesołych projektów.

A oto tatuś już podnosi w górę pierwszą, gotową pisanekę i pyta, kto chce ją sobie wziąć?

— Ja, ja! — wołają na wyścigi wszystkie dzieci, wyciągając ręce, a chociaż rączki Zosi są najkrótsze, do nich właśnie dostaje się śliczna, błękitna pisanka. Nic dziwnego — Zosia to przecież benjaminek rodziny — starsi braciszkwowie uznają jej prawa i sami psują ją na wyścigi.

Pisanka jest prześliczna — na błękitnem tle bielą się po jednej stronie dwie palmy na krzyż złożone, po drugiej malutki kościółek.

— Jeszcze nigdy tatuś takiej ślicznej nie zrobił! — zachwycają się wszyscy, i chłopcy zaczynają prosić o takie same pisanki! bo nic piękniejszego już być nie może. Tatuś proponuje, żeby przynajmniej kolor tła odmienić dla różnaitości — ale chłopcy nie przystają na to, bo przecież na błękitnem tle, kościółek najlepiej się wydaje; to tak jakby na pogodnem niebie.

Do samego wieczora czas schodzi na rysowaniu pisanek. Pod wieczór robi się coraz to cieplej, a słońce zachodzi tak ślicznie, że uważany w tej mierze za nieomylnego wróżbitę, kucharz Jacenty, orzeka stanowczo, iż na święta będzie pogoda.

Co za szczęście! gdy będzie pogoda, to będą i fiołki i huśtawka w ogrodzie i możność oblewania się dowoli na dziedzińcu — tysiące rozkoszy przyniosą złote promienie słońca.

Nazajutrz rano, mama gromadzi dziatwę w swoim pokoju i odczytuje z nią głośno całą historię Młki Pańskiej. Dzieci słuchają przejęte, wzruszone; choć to czytanie powtarza się każdego roku i wiele ustępów już prawie dosłownie tkwi im w pamięci, serduszka ich z roku

na rok uczą się lepiej ogarniać i rozumieć Świętą Tajemnicę Odkupienia, której pamiątkę obchodzimy w tych dniach tak uroczystych.

Po skończeniu czytania, mama ustnie jeszcze objaśnia dzieciom tekst Ewangelii, przytem tłumaczy im znaczenie wszystkich religijnych i narodowych obrzędów, związanych z pamiątką Męki i Zmartwychwstania Pańskiego. Wielki Post, palmy, święcone, dzielenie się jajkiem, to wszystko uświęcone tradycją, drogie sercu naszemu zwyczaje — ale kto chce prawdziwie uczcić uroczystość Zmartwychwstania, powinien w sercu swoim odnowić wszystkie dobre postanowienia, powinien zapragnąć, aby dusza jego w tych dniach zmartwychwstała z grzechu, tak jak ziemia na głos rezurekcyjnych dzwonów zmartwychwstaje ze snu zimowego.

W Wielki Piątek obiadu niema — to dla dzieci jedna radość więcej; tak przyjemnie być głodnym a myśleć, że Wielkanoc ze święconem już niedaleko.

(d. n.)

Bo dyngusie.

(Piosnka ludowa).

Po dyngusie, po śmigusie
Do was, mili państwo,
Przychodzimy żwawe chłopcy,
Nie żadne acaństwo.

Otwierajcie więc coprędeż
Drzwi do waszej chaty,
Bo nie chcemy za fatygę
Zbyt wielkiej zapłaty.

Tylko dacie nam, dziewczki,
Śliczną pisaneczkę,
Na każdziuska wylejemy
Wody koneweczkę.

Tylko wody się nie bójcie,
Będziecie ładniejsze,
W żniwa zwinne jako sarny,
I do tańca lżejsze.

Tylko wody się nie bójcie,
Bo to zwyczaj stary,
Kto się jego wiernie trzyma,
Zawsze zdrów i jary.

Po dyngusie, po śmigusie,
Idziem żwawe chłopcy,
Hej, nie żadne my mieszczuchy
A ino parobcy!

J. Warnka.

Strzeżmy się tych chyżych latawców — powiada dawne podanie ludowe — miejmy się na baczności przed jaskółkami!...

I cóż komu zawiniły te ptaszęta lube, spędzające żywot swój cały w locie i ku naszemu pożytkowi, niszczące mnóstwo szkodników skrzydlatych w powietrzu?

Otóż posłuchajcie:

Za czasów Noego, jedyne cnotliwego męża wśród tysięcy grzeszników, kiedy Bóg postanowił ukarać ród ludzki za bezmierne grzechy i zaparcie się wiary w Niego, ostrzegał niejednokrotnie mieszkańców ziemi, że skoro się rychło nie poprawią, ustanie nareszcie miłosierdzie Pańskie.

Aliści nic nie pomagało. Ludzie grzeszyli dalej...

Natenczas zesłał Bóg na ziemię mnóstwo duszyczek wiernych, które w niebie po cnotliwym życiu z Nim obcowały...

Przemienił je w jaskółki.

Zakazał im kiedykolwiek dotykać ziemi, grzechem zbrukanej, ale uwijać się w locie wiecznie, tuż nad ziemią i ostrzegać ludzi, że wyginą wszyscy, skoro się nie upamiętają w nieprawościach swoich...

Zapełniły powietrze nieznane dotąd ptaszęta i chyżo uwijające się między ludźmi, powtarzały im w locie:

— Będzie źle!...

Ale poganie jeszcze się z ptasząt naigrawali i broili dalej po dawnemu; aż wreszcie było tego Panu Bogu za wiele.

Powolał do siebie jaskółki i pytał je, co widziały na ziemi.

Ptaszki wiernie zdały sprawę ze swych lotów, a na pytanie Boże, ilu jest między ludźmi sprawiedliwych, odpowiedziały, że jeno jeden, imieniem Noe, ze swą rodziną. Pan tedy powiada:

— Wytępię ich wszystkich, a ocalę jedyne Noego.

Usłyszały to duszyczki liłościwe, w jaskółki zakłęte, i żał się im zrobiło takiej siły ludzi. Znowu więc z nieba zleciały i powtarzały grzeszącym ludziom:

— Będzie źle!...

Ale tymczasem otwarły się upusty niebieskie i zalały ziemię potopem strasznym.

Wyginęli grzesznicy, a jeden tylko Noe ocalał z tem wszystkim co mu Pan kazał ukryć w arce.

Jaskółki zaś podczas potopu obsiadły dokoła arkę Noego, ulepiwszy sobie pod jej oknami gniazdeczka.

Po potopie rozmnożyły się licznie i nadal, jak przedtem, przestrzegały nowy ród ludzki przed karą Bożą, szepecąc nad uchem każdego, kto niesprawiedliwie czynił w życiu:

— Będzie źle!...

Odtąd po wieczne czasy jaskółki uwijają się nad ziemią i śledzą pilnie, czy ludzie żyją przykładnie, jak Bóg przykazał...

Ilećroć niebo jest pogodne — wiedzą one, że Bóg otworzył bramy niebios i w jasności słonecznej zasiadł na tronie na sądy. Wówczas też jaskółki ulatują w niebo, przed oblicze pańskie i o każdym człowieku zdają sprawę, czy na karę zasłużył, czyli godzien nagrody niebieskiej.

Toż się strzedz trzeba przez całe życie jaskótek, bo

PIERWSZE ZWIASTUNY WIOSNY.

Jaskółki, z upragnieniem wyczekiwane, wiosny prawdziwej zwiastuny pierwsze, przybywają do nas znowu... Wracają w strony rodzinne z dalekich, ciepłych krajów...

one wszystko dostrzegą w locie i wszystko usłyszą nad ziemią — a każdą rzecz zanoszą do rozsądzania Bogu sprawiedliwemu.

Ale nie zdarzyło się jeszcze, żeby jaskółki nie dały znać Ojcu w niebie o dobrym, choćby najmniejszym uczynku — i żeby człowieka zań nie spotkała nagroda...

Kazimierz Kalinowski.

Piotruś i Basia.

(Dalszy ciąg).

Stróż zawezwany świadczył, że słysząc krzyki służących: „łapać złodzieja,” pobiegł za nią ulicą i pochwycił małego kominiarza, którego mu wskazała, a który zresztą wcale nie uciekał. Kiedy jednak chciano go zrewidować, bronił się tak mocno, że ledwo we dwóch dali mu rady i pieniądze przy nim znaleźli.

Przewodniczący kazał zawezwać przed sąd doktora, w którego mieszkaniu kradzież spełnioną została.

Doktor zeznał tylko, że dukat który owego dnia zostawił na swym biurku, był rzeczywiście nowym, błyszczącym i zdaje mu się, że tę samą miał datę jak ten, który znaleziono u obwinionego; przysięgać wszakże na to nie może, choć jest prawie pewny.

— Piotrze Zabrzęski — jesteś oskarżony o kradzież — zawołał teraz sędzia. — Słyszałeś wszystko, co masz do powiedzenia na swoją obronę?

— Tylko to jedno, że jestem niewinny.

— To nie wystarczy wyznawać swą niewinność; trzeba jej dowieść, a tymczasem wszystkie dowody są przeciwko tobie. Czy to prawda, że spuściwszy się z komina byłeś chwilę sam jeden w pokoju?

— Tak, proszę pana, ale nie ruszyłem się z miejsca, nie chcąc podłogi zawalać i prawie też zaraz nadeszła służąca i mój towarzysz.

— Czy to prawda, że broniłeś się i nie chciałeś dać się zrewidować stróżowi?

— Prawda, panie sędzio.

— I w kieszeni twego surduta znaleziono ten oto pieniądz dziesięciorublowy. Czy możesz temu zaprzeczyć?

— Ja wcale temu nie zaprzeczam — rzekł żywo Piotruś — tak rzeczywiście było.

— I dowodzisz, że te pieniądze do ciebie należały?

— Nie, nie należały do mnie. Dostałem je przez omyłkę w wigilię tego dnia, to jest w sam dzień Nowego Roku. Zamieszkał się widocznie wśród drobnych pieniędzy, które mi jedna pani dała za otwarcie drzwiczek karety.

— I nie spostrzegłeś tego odrazu?

— Nie panie. Gdy zaś spostrzegłem, kareta już była daleko i choć biegłem z całych sił, już jej dogonić ani rozróżnić z pomiędzy innych nie mogłem.

— Byłeś więc tego przekonania, że ci się one nieśluszenie dostały, tylko przez omyłkę?

— Byłem o tem najzupełniej przekonany.

— Dla czegoż więc nosiłeś je przy sobie?

— Żeby je oddać właścicielce, gdyby szczęśliwy wypadek zdarzył, żebym ją gdzie spotkał.

— A zatem według twego twierdzenia, dostałeś te pieniądze w dzień Nowego Roku. Cały dzień nosiłeś je nie zmieniając, nie wydając i uważałeś je za pieniądze nie do ciebie należące, za które czułeś się odpowiedzialnym?

— Tak, panie sędzio.

— Ale nosząc je przy sobie, mogłeś łatwo zgubić.

— Nie miałem gdzie ich schować. Zdawało mi się, że najpewniej trzymać je przy sobie.

— Jaka była data tej monety?

— Nie rozumiem, proszę pana sędziego.

— Pytam się w jakim roku wybity był ten pieniądz, który rok na nim był wyryty?

— Nie patrzałem nawet. Zresztą wtedy nie umiałem jeszcze czytać i nie rozpoznawałem liter.

— A od dwóch miesięcy takeś zmądrzał, że umiesz może czytać?

— Tak, prawie już całkiem biegle.

— Więc to w więzieniu nabrałeś tego rozumu. We wszystkich twych zeznaniach jest dziwna mieszanina prawdy z nieprawdopodobieństwem. W twoim własnym interesie, dla twego dobra, żądam, żebyś mówił tylko prawdę, żebyś nie kłamał.

— Ja nie kłamię panie sędzio, ani słowa nie skłamałem — odpowiedział Piotruś drżącym głosem. Może mi pan sędzia nie wierzyć, ale wszystko co mówię, jest prawdą.

— Jakże zatem wytłumaczyć to, że z pokoju, w którym ty tylko byłeś sam jeden, zginęły pieniądze z biurka? Któż popełnił tę kradzież? Bo przecież kradzież była, temu nikt nie zaprzeczy?

— Ja nic nie ukradłem — rzekł Piotruś.

— Czy podejrzewasz, że to zrobił twój towarzysz? Dlaczego nie znaleziono was razem?

— Poszedł w inną stronę zaraz, gdyśmy tylko wyszli z tego domu; był jakiś niespokojny; to wszystko co wiem i co mogę powiedzieć.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

ul. Blondynka z nad Dochny.

Z trzech liter się składam
I do Wisły wpadam.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Ułożyła Niezapominajka z n. P.

Cz. g. chc. sz. d. n. s. P. n. . z. Tw. . h. jn. . d. r.
Cz. g. z. d. br. dz. . jstw. , kt. r. m n. . m. sz m. r. r.
K. ś. . . l. C. . n. . g. rn. . wsz. d. p. ln. C. . b. .
I w. tchł. n. . ch . w m. rz. n. z. . m. n. n. . b. .

ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go

Zagadki: Grzebień.

Łamigłówki w kwadracie:

P i e p r z
P i a s e k
P i l n i k
P a w i a n
P a n n i c z
P i l a w a

Od Redakcyi.

Zawiadamy naszych czytelników, że ofiary, które wpłynęły na Wieżę Jasnogórską do naszej Redakcyi po dzień 19 lutego r. b. w ilości **rub. 100 kop. 30**, wysłaliśmy wraz z listą do klasztoru OO. Paulinów w Częstochowie ks. przeorowi Rejmanowi. W odpowiedzi na nasz list ks. przeor przysłał wszystkim ofiarodawcom gorące „Bóg Zapłać,” ufając, że Matka Najświętsza hojnie ich nagrodzi za usługi dla miejsca, czci Jej poświęconego.

W dalszym ciągu złożyli ofiary:

Marylcia i Wańdzia Kuczkowskie rub. 5. — Małachowska kop. 50. — Onufry Dubowski rub. 1. — Komarowa i Magdalena Wojtkowa kop. 40. — Helena Śmigiełska kop. 20. — Stasia i Helena Bojarczykówny kop. 20. — Staś Kuciński kop. 50. — Kazimiera Sikorska kop. 40. — Ludwika, Stefania, Bolesława, Stefanek i Janinka Brzezińscy rub. 2 kop. 80. — W. rub. 1. — F. rub. 1. — Z. kop. 50. — T. kop. 50. — M. kop. 25. — W. kop. 10. — J. kop. 10 K. rub. 5. — F. i M. rub. 2 kop. 50.

Skrzynka do listów.

Wszystkim naszym kochanym czytelnikom i czytelniczkom przesyłamy najserdeczniejsze życzenia wesółych świąt Zmartwychstania Pańskiego, przyjemnego spożywania święconego w gronie rodzinnem i pomyślnego ukończenia roku szkolnego.

Wotynianie. Powieść „Mały książę” wysyłamy, ale początku „Róży bez kolców,” która wychodziła w numerze od Nr. 1 roku 1900 — przesłać nie możemy, chyba za opłaceniem trzech pierwszych kwartałów. W konkursie kaligrafii radzimy wziąć udział koniecznie.

Annie G. Wobec bardzo małej ilości zostających egzemplarzy, żadanego Nr. 6-go będziemy mogli udzielić dopiero przy końcu roku z popsatych kompletów. Prosimy zgłosić się wówczas.

Zadania własnego układu i rozwiązywania nadesłali: Szarotka i Mysza z Orłowa, Biała Róża, Julcia Gar., Ludwik, Mania, Jadzia Jabł., Biały Kruk, Margerytka, Szarotka górską i Charlemagne.

Jak prędko czas leci! Tak niedawno zaczynaliśmy wiek XX-y, a oto już wielki post przeszedł, i releksy i jesteśmy u progu świąt Wielkanocnych. Pod względem gospodarczym dla nas, kobiet, to ważne święta, bo trzeba się święconem popisać i choćby jeden mazurek samej zrobić. Oczekuję też od moich kochanych korespondentek wiadomości, czy brały czynny udział w przedświątecznych zajęciach i z jakim powodzeniem.

Świteziance i jej siostrzyczkom przesyłam serdeczne pozdrowienia, przyslij swoją zagadkę powtórnie, pierwsza widocznie zaginęła.

Czy wiesz, **Złota Chmurko**, że posiadam już przynajmniej 10 razy tyle pocztówek co ty, ale zbieram je dawniej i mam bardzo wielu korespondentów. Twoich stron nie znam, ale wiem, że są bardzo malownicze. Widzę, że się uczysz dużo i czytasz wiele, aż za wiele może, jeśli niektóre rodzaje powieści już cię znudziły, to trochę zawczasie. A czyż w żadnych zajęciach domowych lub ogrodowych nie bierzesz udziału?

Z przyjemnością zaliczam cię **Trajkotko** do grona mych korespondentek i oczekuję dłuższych listów. „Moniuszko,” jak

wszystkie nazwiska męskie na *O*, należy w liczbie pojedynczej do deklinacji III-iej (podług Małeckiego) a więc Moniuszki — ce, Fredry, Fredrze i t. d.

Musisz być żywą i wesołą **Czubatko** i pewnie wśród swego rodzeństwa rej wodzisz, nieprawdaż? Opis twego dworu bardzo mi się podobał. Lubię się kąpać w bieżącej, bystrej wodzie, ale pływać się nie nauczyłam, żałuję tego. Nie zapominaj o Jaskółce i pisuj często. Stare marki są zawsze pożądane, odsyłamy je na cele misyjne.

Niech się **Tadeusz** nie zraża trójką z kaligrafii i stanie do konkursu, właśnie przez wprawę poprawisz sobie pismo, które choć nie jest piękne, ale wyraźne, dość wyrobione. Stefanowi ukłony przesyłam, czemu on do mnie nie pisze także?

Neci na zbyt ogólnikowe jej zapytanie odpowiedzieć mogę tylko, żeby w czytaniu przeplatała rzeczy lżejsze z poważniejszymi. Za życzenia świąteczne dziękuję, a nie wątpię, że cenzura twoja będzie świetna.

Ad. Kam. Pochlebia mi zwrócenie się twoje do mnie; pismo twoje choć niekształtne, ale czyste i co najważniejsza wyraźne. Wiersz twój ma pewne zalety, ale jest zbyt suchy i zawiera wiele zwrotów niewłaściwych.

Rozumiem, że **Topolce** z Krasnego bywa czasami tęskno, jako jedynaczce bez rodzeństwa, ale nie trzeba się poddawać tęsknocie. Może znowu kiedy odwiedzisz Warszawę i pojedziesz do Częstochowy pomodlić się przed cudownym obrazem. Pisuj do mnie częściej. Książkę wysłaliśmy. ♪

Z przyjemnością przeczytałam mile słowa uznania dla pisma naszego od dzielnego **Rumaka Stepowego**. Przypomniałam też Redakcyi o twoich zadaniach, oddając dwa ostatnie.

Szarotce Górskiej. Żądana powiastka z przesyłką kosztuje 17 kop.

Nie mogę cię teraz objaśnić, **Biała Różo**, kto pisuje pod pseudonimem Polskiej Dzieweczki.

Pogoń czekała aż Wielkiego postu, żeby do mnie napisać; czyżbyś miała to uważać za umartwienie dla siebie? a przecie temu, kto się uczy na wsi zawsze łatwiej znaleźć wolną chwilkę niż na pensyi. Ale jestem bardzo wyrozumiała i twój list mnie rozbroidł. Wyobrażam sobie, jak będziesz przyjmowała na Wielkanoc brata i siostrę. Żeby tylko pogoda służyła!

Zielonej Żabce bardzo jestem wdzięczna za długi i pełen ciekawych wiadomości list. „Hrabina” Teresy Jadwigi będzie wychodziła w II-em półroczu, prawdopodobnie w dodatku książkowym. Autorka jej mieszka stale w Warszawie. Sienkiewicz dla zdrowia swojej córki, która trochę niedomaga, wyjechał niedawno na południe, podobno aż na wyspę Korfu. Co do czytania jego powieści podzielałam zdanie twych rodziców. Oni, jako najlepiej znający twoje usposobienie i stopień rozwinięcia, mogą też najlepiej osądzić, co czytać możesz, a w tej kwestyi nietylko wiek, lecz rozwój umysłu i charakteru wiele znaczy. Naturalnie, że każdy przedewszystkiem dbać musi o biednych i potrzebujących w swojej najbliższej okolicy i dlatego nie dziwię się, że ci tak leży na sercu ochronka, założona staraniem zacnego p. Dębickiego. Ale trzeba też mieć na względzie, że do Warszawy ściągają ludzie z różnych stron i okolic, że tu jest największe nagromadzenie potrzebujących i najtrudniejsze warunki życia, trudniejsze niż po wsiach lub mniejszych miastach, dlatego więc z pomocą dla ubogich Warszawy, winni przychodzić także i przychodzą osoby, nie mieszkające stale w tem mieście. Wkrótce ogłoszony będzie konkurs na wypracowanie, a później na roboty ręczne dla panienek. Wieczór R. teraz bardzo zajęty i dlatego mało pisuje.
Wasza *Juskółka*.

Teatr Maryonetek.

W każdą niedzielę i święto o godzinie 4 i 6-iej po południu odbywają się w Dolinie Szwajcarskiej przedstawienia maryonetek dla dzieci pod kierunkiem p. Maryi Weryho. Obecnie grają „Jaś i Małgosia” Or-Ota i „Jaki pan, taki sługa,” oraz pantominy.